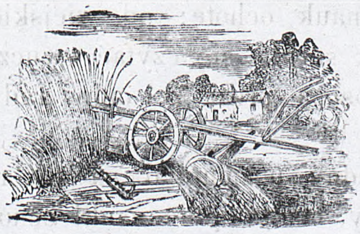
Tom III. 11. Lutego 1871. Nr. 5.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(powiastka.)

Antoni Skiba był niezamożnym gospodarzem we wsi Konopkach w ziemi krakowskiej. Niezamożnym był, ale bardzo pracowitym, trzeźwym, starannym a nadewszystko uczciwym Na majątku Bóg mu nieposzczęścił, — dał mu za to serce dobre, wesoły umysł, ręce zdrowe i do pracy ochocze, a czegoż więcej do szczęścia potrzeba? Chatę po ojcach dostał staruszkę co to mchem porosła, aż zielona cała, do ziemi się przykłoniła — ot ze starości. Niestało go na nową chatę, więc jak mógł ponaprawiał, dach poszył na nowo, ściany drągami podparł i zamieszkał z żoną swoją. A jużto żonę dostał, że pozazdrość mu bracie. Ani zrzędna, ani złośliwa, ani sekutnica; — gospodarna, raźna, kochająca — jej tylko mąż i gospodarstwo w głowie, o hulance i zabawie — choć młoda i piękna, ani pomyśli. I Bóg błogosławił tym dobrym ludziskom — przy pomocy boskiej a szczerej pracy, choć skąpo i ubogo, przecież nieźle im się wiodło. A gdy za parę lat kilka zdrowych dziatek im się narodziło, to już Antoni prawdziwie był szczęśliwy. Bo jużto dzieci zdrowe a dobre, to dar boży. I pomoc z nich i jakoś radość większa w domu. Człowiek bardziej wie, że

dla kogoś pracuje, i ta praca od serca mu idzie. Jedna tylko myśl smuciła Antoniego. Najstarszy chłopak jego Janek, wielką miał do nauk ochotę; od wiejskiego nauczyciela jak z bicza trzasł, tak szybko się czytać wyuczył, i pisał nie źle, — a wciąż ojca prosi a prosi, że onby rad dalej i więcej się jeszcze uczyć.

Ojczysko biedny posmutniał na to; radby syna w świat pokierować, kiedy ma taką do nauki ochotę i zdolność; a tu ani rusz, nie ma o czem. W głowę zachodzi i duma, a nic wynaleść nie może. Tu ledwo na życie starczy przy mocnej i wielkiej pracy — ani grosza jednego nie ma zbytniego — skądże wziąć pieniędzy na wysłanie syna do szkół miastowych?

Jakoś Bóg czuwa nad poczciwymi i nadspodziewanie nieraz zsyła pomoc. Tak i tu się zdarzyło. Janek poszedł raz rankiem do nauczyciela drugiej wioski aby mu pożyczone książki odnieść i o nowe poprosić. Nauczyciel przyjął go mile jak zwykle, wypytywał, czy mu się książeczki podobały, czy rodzicom na głos czytał, lub też opowiedział im co tam w książce stoi; pogadał o tem i owem; — w końcu zadowolony z Janka dał mu nowych książek. Janek szczęśliwy pocałował w rękę pana nauczyciela i puścił się do domu. Idzie przez drogę i nie patrzy na nic, tylko książkę otworzył i czyta, i rozpatruje ładne obrazki w tej książce. Taki zajęty, że nic nie słyszy ani widzi. A tu po obu stronach gościńca ptaszki cudnie spiewają — tu dziadek ciemny ciągnie gościńcem — tu znowu przeleciał na bystrym koniku pan jakiś a za nim sługa. Janek ani patrzy, ani słucha. I byłby tak zaszedł do domu samego, gdyby mu nic nie było przeszkodziło. Raptem potknął się na czemś, i książka mu wyleciała z ręki. Spojrzał a oto nie na kamieniu lub pniaku, lecz na jakiejś torbie skórzanej się potknął. Zdziwił się niepomału; — pierwszą myślą była ciekawość; podnosi torbę i patrzy, ładna skórzana z pięknem wyszywaniem, a nadewszystko jakaś ciężka bardzo. Już go chętka brała otworzyć i zajrzeć do środka, — ale się opamiętał, myśli: "to ktoś widno zgubił, co mi do tego co tam w środku jest, trza oddać przedewszystkiem. Rozgląda się naokoło, a tu żywej duszy nie ma. Pomyślał chwilę, schował

torbę pod płótniankę, i puścił się ku najbliższej karczmie. Duma sobie, że jeżeli to podróżny jakiś zgubił, to go może w karczmie zastanie. Ale w karczmie prócz żyda i bachorów, żywej duszy nie ma. Poczyna wypytywać żyda, żydzisko wypatrzył się na niego, i coś się począł domyślać. Byli u niego przedtem podróżni i nocowali; rankiem odjechali. Ztąd żyd począł miarkować coś. Ale Janek nie głupi, żadnem słówkiem się nie zdradził. Wyszedł z karczmy i myśli co dalej począć. Ha — trza naprzód ojcu powiedzieć, mruknął sobie, i poleciał do chaty ojca. Ojciec oglądnął torbę, kazał sobie opowiedzieć gdzie była znalezioną, i zabrawszy Janka poszedł do urzędu gminnego drugiej wsi. Tam przy świadkach otworzyli torbę. Wielkie było podziwienie wszystkich, gdy znaleźli dużo złotych pieniędzy jakiegoś nieznanego kraju, — przytem różne papiery zapisane obcym językiem, niezrozumiałym dla nich, ale nigdzie śladu, po którymby można właściciela dojść. W końcu wyleciał z torby złoty krzyżyk. Krzyżyk był kamieniami drogiemi wysadzany, a w pośrodku napis: „Boże zbaw Polskę!“ rok 1831 i litery F. M. Z drugiej strony wprawiony mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Stary jeden wieśniak krzyknął z podziwu zobaczywszy ten krzyżyk.

— „Na miłość Boga — tać to krzyżyk nieboszczki naszej dziedziczki, świeć Panie nad jej duszą! — Wszak pamiętam, jak go zawsze nosiła, gdym służył we dworze. Chodźmy do starego jegomości, to pewnie on musiał zgubić.“

Wszycy zebrali się i poszli do dworu, wraz z Antonim i synem jego Jankiem. Właściciel wioski, pan Tadeusz Mycielski, byłto zacny starowina. Od wielu lat owdowiały, wiecznie siedział w swoim dworze, zawsze smutny, zamyślony, i nigdzie prawie nie wyjeżdżał. A o smutku jego dziwnie ludzie prawili a mało kto wiedział przyczynę. Kochał swój ludek, pomagał słowem dobrem, radą, pieniądzmi, ale zawsze był jakiś zadumany. Bywa po skończonych żniwach, na dożynki do niego wesoło spieszy gromadka żeńców, — on przyjmie, obdaruje, i stół zastawi suto, i muzykę każe sprowadzić, a prosi, a woła: wesoło, dziatki moje, bawcie się, siadajcie, tańcujcie... Ale sam smutny, pogada ze starymi gospodarzami, wnet łza mu się

w oku zakręci, i zaraz ucieka. Na święta ludek sprasza do siebie, — żadnego wesela ani chrzcin we wsi nie pominie, — wyposaży, obdaruje, za najlichszym na pogrzeb spieszy, zawsze z ludkiem swoim, ale zawsze smutny. To też ludzie nazwali go smutnym jegomością i kochali go całem sercem. Bo jużto ludek nasz polski dziwnie poczciwy a serdeczny ponad wszystkie inne na świecie. Jakeś wesół, to zabawi się z tobą ochoczo; gdyś w potrzebie, poratuje cię; gdy wejdziesz do chatki, to ostatni kąsek chleba z tobą podzieli, własną pościel ci ustąpi, ale gdy smutek w tobie ujrzy, lub łzę w oku obaczy, o to go zaboli i za serce ściśnie, — żeby to serce wydarł i dał ci jego połowę, on by wszystko dał, aby ci żałoby ująć. Widziałem na własne oczy, jak przed dwoma laty w Krakowie na pogrzebie zwłok wielkiego króla naszego Kazimierza Wielkiego, co to był królem chłopków naszych, ludek nasz z tej i z tamtej strony Wisły rzewnemi płakał łzami! Biedacy bracia nasi, co to pod Moskalem, to w nocy, ukradkiem, Wisłę przepłynęli, a na pogrzeb do Krakowa przyszli, aby być przy pogrzebie króla swego, i zapłakać na jego grobie, i braci swych z tej strony Wisły obaczyć — i pogadać o biednej ojczyźnie naszej Polsce, matce naszej nieszczęśliwej. Taki to serdeczny lud nasz, taki miłościwy, i tego serca żaden wróg mu wydrzeć nie zdołał. Bo serce dobre, to z ojców na synów i wnuków idzie. i jak złoto nigdy nie rdzewieje, i przez wieki przetrwa.

To też jak go ludzie zwali smutny jegomość ukochał braci swych chłopków, i z nimi jednymi tylko żył. Uradowało go niepomału, gdy ujrzał, spieszącą gromadkę do swego dworu. Pomyślał, że pewnie z interesem do niego, i naprzód był kontent, że im będzie mógł pomódz.

Przychodzą wszyscy z wójtem na czele. „Niech będzie pochwalony“ rzekła gromada; „na wieki wieków“ odrzekł pan Mycielski, „a cóż mi przynosicie, kochani ludziska?“

Wójt pokłonił się, pocałował pięknym polskim zwyczajem jegomości w ramię, położył na stole znalezioną torbę, i rzekł:

— „Ze znaleźnem przyszliśmy, proszę jegomości, — o ten chłopczyna Antoniego Janek znalazł tę torbinę, i oddał

nam do urzędu gminnego. Otóż przejrzeliśmy torbę, przerachowali pieniędze, co tam są, i papiery obce, i krzyżyk złoty opatrzyli. Stach stary z boru powiada, że ten krzyżyk dworski, otóż i przynieśliśmy do dworu.“

— „Nie, kochani moi, odrzekł pan Mycielski, tej torby nie znam, i jej nie zgubiłem. Odeszlijcie do powiatu, to może właściciel się znajdzie. A Janek ją znalazł, powiadacie, który to Janek?“

— „Ot ten z sąsiedniej wioski, z Konopek, syn gospodarza Antoniego, co tak stoi i aż zarumienił się.“

— „Poczciwy chłopczysko, rzekł pan Mycielski, a bo to i ojciec jego poczciwy. Dziękujcie Bogu Antoni, że syn w was się wdał...“

— „Ależ bo, proszę jegomości, rzekł znowu wójt, powiada Stach stary z boru, co tu dawniej sługiwał we dworze, że to w tej torbie, taki krzyżyk nieboszczki pani...“

— ... Co... krzyknął pan Mycielski, to być nie może! pokażcie!

I zerwał się starowina na równe nogi, i przyskoczył do torby. Tymczasem wójt otworzył torbę, i wyjął krzyżyk. Stary pan skoczył, stanął jak wryty, i patrzy i patrzy.

— „Święty Boże! mocny Boże! — wykrzyknął w końcu — wszak to krzyżyk mej żony — krzyżyk syna mego! Ha gdzieście to znaleźli — w którem miejscu? Mówcie na miłość Boga!“

Janek popchany przez ojca, przystąpił do starego pana, i opowiedział całą rzecz, jak się miała. Pan Mycielski słuchał nadzwyczaj zajęty, — w końcu zniecierpliwiony zadzwonił na służącego.

— „Hej konia mi osiodłać! krzyknął co najżywiej, — nieinaczej, ten który tę torbę zgubił, musiał do Krakowa pojechać... ja go znaleść muszę, odkryć muszę, i o wszystkiem się dowiem...“

Wieśniacy przytomni patrzyli z podziwem na swego pana. Pojąć nie mogli, zkąd naraz takie życie w niego wstąpiło. Konia wnet osiodłano, i stary pan wyleciał w podwórze, wsko-

czył w siodło i pognał co żywo drogą do Krakowa. Zdumieni wieśniacy gawędzili między sobą różnie, w końcu wyszli z dworu i zaczęli się rozchodzić, każdy do swej chaty. Torbę z pieniądzmi zabrał wójt ze sobą — krzyżyk złoty pan wziął i do Krakowa z nim poleciał. Przez następne dnie gromada o niczem nie gadała, tylko o znalezionej torbie, o złotym krzyżyku, o starym panu i jego nagłym wyjeździe. Nikt się niczego domyślić nie mógł, każdy inne robił przypuszczenia. Jeden tylko stary Stach z boru mruknął to i owo, i kiwał poważnie głową, ale, mimo że go wszyscy wypytywali, on słowa nikomu nie powiedział. W końcu znudzony ciągłemi pytaniami, zamknął się w swojej chacie, i raz na dzień tylko wylatywał do dworu, spytać czy stary pan jeszcze nie wrócił.

Wójt ogłosił po wszystkich drogach i karczmach o znalezionej torbie, ale minęło dwa tygodni, a nikt się nie zgłaszał. Chciał do Krakowa dać znać, ale pomyślał, że lepiej zaczekać powrotu pana, i jego się poradzić. I bardzo dobrze zrobił, jak to się o tem wnet przekonamy. C. d. n.

Krzyż boski.

Gdy chcesz ze ziemi.
Myśli tęsknemi
Wzlecieć o pomoc w zwyż,
O! to schyl skronie
Niech cię owionie
Swą łaską boski Krzyż!

W sercu, gdy snadnie
Troska się wkradnie
Duszę z pokorą zniż,
Z dziecka miłością
I uległością
Weźm na się boski Krzyż!

Nawet gdy dusza
Łzy poobsusza.
Wśród błogich spocznie cisz,
Na szczęścia kwiecie,
A jednak przecie
Miej w myśli boski Krzyż.

Na polu chwały
Gdy wśród nawały
Zagrozi piersiom spiż,
W Matki obronie
Nawet przy skonie
Wesprze się boski Krzyż.

W srogiej niewoli
Choć serce boli,
Rozpaczą jednak nie grzesz:
Bo za cierpienie
Daje zbawienie
Cierpiącym — boski Krzyż.

Że Krzyża ramię
Potęgę złamie
Temu statecznie wierz,
I w Ojców chwale
Znowu wspaniale
Zajaśni boski Krzyż.

M. Nadwiślak.

Lew.

Lew należy do rodzaju kotów. Jak lew wygląda to zapewne wie każdy, bo bardzo często można go zobaczyć wymalowanego, zresztą tu go na rysunku podajemy. Jest on z najsilniejszych zwierząt, a że do tego bardzo dumnie zawsze spoziera i poważnie chodzi, a przytem pięknie wygląda, nazwali go ludzie już od bardzo dawna królem zwierząt i wiele o nim bajek napisali, jak on sądzi inne zwierzęta, jak je karze i inne historye, co wszystko bajką jest, jak wspomnieliśmy. Lew bywa od głowy do ogona 5 do 6 stóp długi, a na 3 stopy wysoki. Sam ogon bywa na 3 stopy długi i jest gładki, tylko na końcu ma gruby kosmyk włosów, jakby miotłę sporą. Głowa jego jest wielka i okrągła i zawsze do góry zadarta. Od głowy do połowy ciała ma długie włosy a reszta ciała jest gładka. Samica i młode zawsze są gładkie, to jest że krótkie włosy mają. Maść lwa bywa żółtawa. Jest ich więcej gatunków, a wszystkie prawie żyją najwięcej w części świata nazwanej Afryką i żywią się dzikiemi kozami, małpami, chociaż zjadają i krowy, osły, owce, i t. p. zwierzęta.

Lew zwykł leżeć w dzień w gęstych zaroślach, i wtedy ma być lękliwy i nie łatwo odważy się do napaści, przeciwnie w nocy wychodzi na łowy, i nim swą zdobycz pochwyci, w dużych skokach powtarza straszne ryki. Widać przeto, że nie postępuje sobie tak chytrze jak tygrys, który czatuje na zwierzę i niespodzianie je napada. Człowieka nie tyka lew, ale owszem ustępuje przed nim spokojnie; nie dlatego, żeby się go bał, ale że czuje jakąś nienawiść ku niemu. Tylko w takim razie, gdy widzi że człowiek z umysłu na niego nachodzi i ściga go, staje lew śmiało do boju. I wtedy to nie patrzy on ile ma nieprzyjaciół przed sobą, ale staje śmiało na pagórku, ryczy okropnie i nie ustąpi i kroku z miejsca, nawet wtedy gdy jest ranny.

Polowanie na lwa należy do najniebezpieczniejszych. Zbierają się strzelcy na koniach i biorą ze sobą wiele psów, które tropią lwa. Gdy go psy ścigają, wtedy ryczy mocno a ten ryk słychać aż na milę daleko. O jednem takiem polowaniu

na lwy tak pisze pewien podróżny: Wzięliśmy ze sobą wiele psów i wyjechało nas nie mało na koniach ze strzelbami. Skoro psy zwietrzyły lwa i zaczęły mocno ujadać, lew począł tak silnie ryczyć, że aż strach przechodził człowieka. Widzieliśmy też, powiada ów podróżny, jak wszystkie zwierzęta skoro ryk usłyszały, przestraszone chowały się gdzie mogły. Wkrótce zobaczyliśmy pagórek ku któremu zdążał lew. Skoczyliśmy co prędzej, aby tam stanąć przed nim i tu się dopiero zaczęła walka. Konie postawiono tak, aby od lwa były głowami odwrócone i aby go nie widziały, boby pouciekały zaraz. Strasznie było patrzyć jak lew co chwila chwytał psy i jakby dla igraszki podrzucał je wysoko w powietrze. Zaczęliśmy strzelać, i za każdym wystrzałem lew rzucał się okrutnie ku strzelcowi ale zawsze wywierał swą zemstę na najbliższym psie. Dopiero po wielu strzałach osłabł lew i upadł w końcu na ziemię. Przystąpiliśmy bliżej, ale ostrożnie i pierwej przestrzeliliśmy mu serce, aby się nie zerwał. W głowie, tułowie i na ciele naliczyliśmy 12 ran.

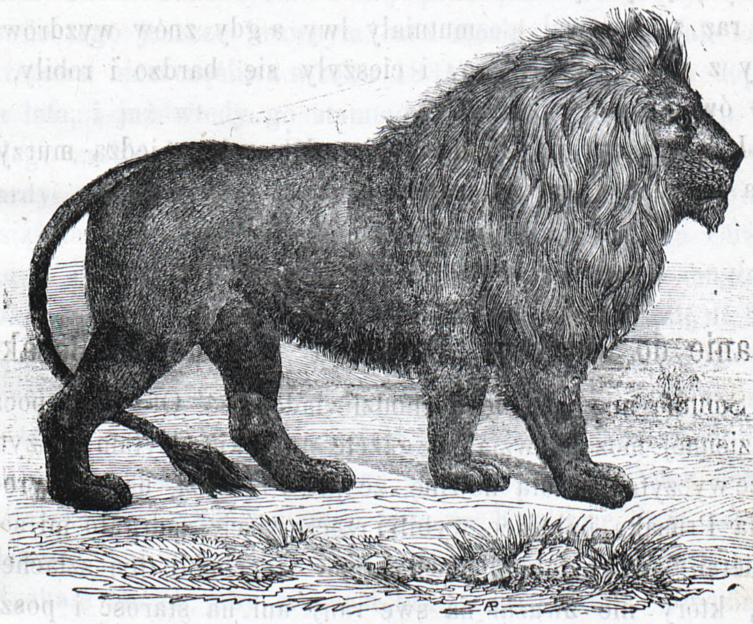
Niekiedy nadarzy się strzelcom natrafić na całe gniazdo lwów. Wtedy to lew wychodzi naprzód i zasłania sobą młode i lwicę. Gdy raz zabito takiego lwa, samica i młode pouciekały, ale następnego dnia znaleziono je nieżywe.

W osadach afrykańskich wiele szkody robią lwy, bo im domowe zwierzęta pożerają. Z początku dawały się odstraszać trzaskaniem bicza, ale w krótce oswoiły się z tem i nie bały się trzasku, skoro ich nie ranił. Ludzie tamtejsi bardzo są wprawni do strzelania, nigdy jednak nie uderzają nań dopokąd nie zbliżą się do niego zupełnie. Jestto chwila ostatnia, bo albo lew padnie, gdy go trafi strzelec w głowę, albo też ginie strzelec skoro chybi strzału. W niektórych okolicach łapią go także w doły albo żelaza.

Małpy uciekają przed nim na drzewo, bo tam nie polezie lew. Tygrys wyrówna mu w sile, słoń zwycięża go często, tak samo i nosorożec.

Młodo złowiony lew łatwo da się oswoić i przywiązuje się do człowieka. Wiele też opisują historyi, jak lew wiernie służył człowiekowi, bronił go i okazywał wdzięczność ku niemu.

Takie to oswojone lwy ciągnęły niekiedy wóz, na którym rzymscy wodzowie siedząc wjeżdzali do miasta. Także lwa jednego razu okrutny cesarz rzymski Neron kazał wpuścić do pokoju, gdzie wielu siedziało zaproszonych gości u stołu, i których on z umysłu chciał przestraszyć. Niejaki pan, który się nazywał Archer, wychował młodego lwa i ułaskawił go tak, że ten z nim spał razem i chodził, i nikomu też nic złego nie uczynił, choć był już tak wielki, jak duży brytan. Lwa tego przewieźli potem z Francyi do Anglii i trzymali w mieście



Tower. Gdy tam służący Archera przybył po kilku latach, poznał go lew od razu, i wszelkiemi sposobami okazywał swą radość, tak że ów służący prosił, aby mógł wejść do klatki, w której wtedy trzymano tego lwa. Skoro wszedł do lwa, skoczył lew na niego jak pies, lizał go po ręku i po twarzy, tak, że się wszyscy dziwili. Gdy się ów służący oddalił, lew był bardzo smutny i przez 4 dni nic jeść nie chciał.

Księżna Hamilton miała lwa, który nie zdawał się dość oswojonym. Razu jednego goście byli ciekawi widzieć jak lew będzie jadł i zbliżyli się do klatki, w której siedział. Nadszedł też i żołnierz pewien, który prosił, aby mógł się

także przypatrzyć lwowi. Właśnie wtedy ryczał lew mocno. Żołnierz zbliżywszy się do kraty zawołał: Cóż to Neronie nie poznajesz mnie? Natychmiast obejrzał się lew, opuścił jadło przyszedł do kraty i bijąc się po bokach ogonem, okazywał wielką radość. Lizał go po ręku, pozwolił się głaskać, i ocierał się o kratę, koło której stał żołnierz. Pokazało się, że ów żołnierz był przez 3 lata dozorcą tego lwa.

Inny dozorca lwów w Paryżu, nazwiskiem Felix Kasal, miał pod swą opieką dwóch lwów, które były do niego nadzwyczaj przywiązane tak że do nich wchodził do klatki, Gdy raz zachorował, posmutniały lwy, a gdy znów wyzdrowiał, wtedy z radości lizały go, i cieszyły się bardzo i robiły, co tylko ów dozorca rozkazał.

Lew ma żyć od 25 do 30 lat. Mięso jego jedzą murzyni, skóra przydatna jest na materace.

Pisanie do redakcyi „Dzwonka" o generale Bosaku.

Smutna mię właśnie dochodzi wiadomość. Oto by wypocząć po dziennej mozole, wziąłem gazetę do ręki Czytam i czytam i chcę wyczytać wesołą nowinę, że już Francuzi, nasi przyrodni bracia Prusaka najezdcę wybili i rzeczywiście zadrgało mi serce w piersi. Wyczytałem bowiem, że Garybaldi, ten szlachetny mąż, który nie zważał na swe rany ani na starość i poszedł się znowu bić za wolność, wybił tam gdzieś pod miastem Dijonem — na francuzkiej ziemi Prusaka. Łzy radości zrosiły mi twarz a serce moje tak pukało, że nie mogłem gazety doczytać. Lecz pomyślałem sobie: trzeba się o tej walce coś więcej dowiedzieć. Ale któż opisze moje przerażenie, kto opisze mój ból, gdy wyczytałem, że pruska kula ugodziła w pierś naszego polskiego generała Bosaka. Oj tożto był generał, oj tożto był Polak! Serce mi pękało z bolu, nie wiedziałem, co myślę— gdym wyczytał, że nasz ukochany Józef Bosak padł. Oj bożto się pod nim Moskali kropiło, co to naszych braci ciemiężą, biło się w roku 1863, że aż drzazgi leciały! I taki to człowiek musiał zginąć! — Cała nasza ojczyzna za nim płacze, bo

on był najlepszym jej synem. Znam ja go dobrze, a raczej znałem, bo go już ziemia i śniegi kryją. Wiele to cudów my sobie o nim nie napowiadali! Taki pan, jak on był, a nie pogardził chłopkami, ściskał w obozie nasze szorstkie dłonie, a wszystko, co czynił, było dla ojczyzny, a każde jego słowo było: „Za ojczyznę!"

Jak ja pod nim tam za granicą, co to nas od naszych rodzonych braci dzieli, byłem, to się to dowiedziałem, kto to on był i nie mogłem się nadziwić, że i taki pan tak ojczyznę kochać umie, że aż życie za nią poświęca On to był hrabią i to do tego jeszcze krewnym cara moskiewskiego. Jak to się Warszawa nieszczęśliwa w roku 1831 poddała, miał on dopiero dwa lata, i już wtedy go stamtąd zabrali do Petersburga, aby z niego zrobić Mos ala. Zrobili go, jak wyrósł, oficerem przy gwardyi cara, przy tej gwardyi, co to do niej tylko hrabiowie i książęta należą. Przykrzyło mu się jednak tam na carskim dworze, nudziły go zabawy, bo jego młoda dusza nie mogła się zamknąć w pałacach. Dlategoto prosił, aby go wysłali na Kaukaz, na te góry wysokie i na te skały, na których to człowiek aż wolniej oddycha. Była tam wojna wtedy, bo tak jak zawsze, tak i wtedy Moskwa chciała się zbogacić krajem wolnego narodu. A wysełali tam zawsze Polaków, bo to Polak zawsze się dobrze bije Otóż i dlatego było na Kaukazie dużo naszych i dlatego, bo tam było wiele niebezpieczeństw, ludzie ginęli, a Moskale chcieli, aby się nasi bracia marnowali. Wiedział to Bosak albo Hauke, bo tak się z ojca nazywał, ale nie zapomniał, że się na polskiej urodził ziemi i chciał się bić i dzielić trudy razem ze swoimi — z Polakami. I jakoś go Pan Bóg ocalił, a nawet mu się tak poszczęściło, że został półkownikiem. Wtedy to Moskwa zaczęła naszych w Polsce prześladować i strzelała do tych, co się za ojczyznę modlili. I nie mógł dłużej Bosak wytrzymać w służbie takiego cara, co jego braci więził, obijał knutami i wieszał. Dlatego też podziękował za służbę. Długo nie chciał car mu pozwolić z wojska wystąpić, bo jak napisałem, Bosak był jego krewny, naobiecywał mu się daremnie, ale wreszcie musiał go puścić. Pojechał wtedy Bosak na wieś i ożenił się. Ale nasi nie mogli długo cierpliwie moskiew-

skich prześladowań znieść i zrobili powstanie. I on, mój kochany dowódzca, nie wahał się, ale chwycił za broń i pospieszył także bić się za ojczyznę. Ach! co to był za dowódzca! Żył z nami, jakby się z nami wychował, jadł nasz chleb czarny i niepozwalał sobie żadnych wygód. Ale co będę wam o tem pisał! Wy wszyscy wiecie o nim i wiecie, jak się nasze powstanie skończyło. Otóż wtedy nie miał Bosak co robić, jak Moskale wszystko zajęli. Pojechał do Niemiec najprzód, a potem do Włoch, aby się poznać z Garybaldim, co to także się zawsze za wolność bije. Tam mu pisał brat cara, aby powrócił,— ale on nie chciał; prosił go krewny tego Napoleona III. co był cesarzem Francuzów, takim drugim carem, aby wstąpił do francuzkiego wojska, ale on nie chciał. Aż jak teraz Prusaki wzięły Napoleona do niewoli i Francya stała się wolną, a Prusaki nie chciały przecież zrobić pokoju, poszedł do Francyi, aby bronić wolnych Francuzów przed drapieżną zgrają pruską. — I padł w tej szlachetnej sprawie nasz kochany Bosak, — zginął w obronie wolności, ale imię jego żyć będzie wiecznie! Takich ludzi zapomnąć nie można, — to był Polak, to był obrońca wolności! — Wiele łez za nim teraz płynie, cała Polska płacze! — A co robi jego żona i dziatwa? Pewnie w biedzie, bo on wszystko dał za wolność, i wszystko mu zabrali Moskale. Panie wspomóż biedną wdowę i sieroty w ich smutku i niedoli, a duszy naszego bohatera daj pokój wieczny!

Mańko ze Stryja.

Rozmaitości.

— Sam sobie grób wykopał. Zeszłego roku przyszedł do notaryusza, zacnego i powszechnie lubionego męża w całej okolicy, pewien włoscianin ze wsi Grądów, powiatu Dąbrowskiego, a załamując ręce, woła rozpaczliwie: „Zmiłuj się łaskawy panie, ratuj mnie i moje dzieci!“ — Wzruszony widokiem rozpaczliwego stanu znajomego mu włościanina, zapytuje go pan notaryusz o powody tego narzekania. Na to ze łkaniem rzecze włościanin: „Panie ratuj mnie, ten przeklęty lichwiarz Singer wyrzuca mnie z mej ojcowizny; pożyczyłem od niego tylko dwa razy po 50 reńskich a on zaskarżył mnie o 5 tysięcy — i podał już o licy-

tacyję. Przysięgam wielmożnemu panu żem nad 100 reńskich ani centa więcej nie wziął od tego szachraja żyda!"

Znając z kilkanastu podobnych wypadków szelmostwa tego głośnego oszusta podjął się pan notaryusz prowadzenia tego interesu: zażądał od włościanina potrzebnych stępli i podał następnie skargę do c. k. starostwa, z tem wewnętrznem zadowoleniem, że poczciwego kmiotka wyrwie z nieszczęścia i ukarze zdziercę bezsumiennego.

Ale cóż się nie dzieje! Podczas, gdy ów włościanin narzekał i prosił o ratunek pana notaryusza — żyd czychał już za drzwiami na niego jak zły duch; a kiedy zobaczył wychodzącego — bierze go pod rękę prowadzi do siebie, częstuje, głaska, uspokaja, mówiąc mu, że odwoła licytacyję, że się z nim zgodzi, i przyjmie wypłatę długu w częściowych ratach, opuszczając połowę.

Na drugi dzień przychodzi włościanin do pana notaryusza. „Łaskawy panie, ja już nie będę pana Singera procesował, to mój ojciec, opiekun, on mnie ratował w biedzie, już my się zgodzili" — Wszelkie uwagi i przestrogi na nic się zdały, wieśniak oświadczył stanowczo, że się nie procesuje, a pan notaryusz skargę odwołał. — Za kilka dni przybiega ów człowiek i krzyczy: „Wielmożny panie ratuj mię — komisarz przyjechał na licytacyję, zmiłuj się nademną i ratuj!" „Już późno — mój kochany! zresztą, cóż ci to szkodzi wszak to twój ojciec i opiekun!" — I stało się; grunt zalicytowano za bezcen i to podobno wziął jakiś żydek — a tak wykopał sobie włościanin grób własnemi rękami. Oto jeden z licznych przykładów że nie ma wiary, nie ma zaufania do tych, co dobrze radzą. Oby ten smutny przykład był przestrogą dla was nie jednego!

N a u k a c z y t a n i a. Już w zeszłym roku pisaliśmy wam o nowym sposobie łatwego wyuczania czytania i pisania dla dorosłych wynalezionym przez pana Konstantynowicza. Otóż p. Konstantynowicz postanowił sobie objechać cały kraj nasz, od wioski do wioski, i wszędzie wyuczać ludzi na nauczycieli którzyby potem jego sposobem wszystkich nie umiejących w tej wiosce uczyli. Cały powiat wadowicki ma w każdej swoich gmin, a jest ich 112, osobnego nauczyciela. Nauczycielami tymi są sami prawie wieśniacy. Jak to miło i pięknie, że wieśniak wieśniaka uczy, i to bezpłatnie! Obecnie szerzy pan Konstantynowicz swój sposób uczenia w Krakowskiem gdzie ludek tamtejszy ochoczo się do nauki garnie. Z kilku już miejsc wyuczeni i postanowieni przez niego nauczyciele przedstawili świadectwa, potwierdzone przez proboszcza i urząd gminny, że wszystkich w swej gmin czytać wyuczyli. Jedno takie świadectwo przedrukowujemy dla dowodu. „Zaświadczam niniejszem, żę pan Łaposz k, młodzieniec, syn organisty w Bolechowie, podług sposobu p. Konstantynowicza wyuczył w dniach 30 czytania wszystkich dorosłych ze wsi Kobylany, którzy regularnie od niego naukę po-

bierali. Na dniu 2 Stycznia 1871 w obecności mojej i Wnego Ignacego Teligi, egzamin wypadł tak, iż się okazało, że wszyscy czytają dość płynnie, drukowane z podanych im książek, a nawet pisane i piszą otyle że trzech znich, którzy uczyli się pisania czytelnie podpisać się mogą Na grodę wksiążkach każdemu z nich dana została. Kobylany dnia 2 Stycznia 1871. Ks. W Ciszyńki pleban i dziekan bolechowiecki. Obecny egzaminowi J. Teliga.

Złote ziarna.

Z niesprawiedliwie nabytego mienia,
Wszystko zniknie w rękach trzeciego pokolenia.

Pracuj, módl się i żyj w zgodzie,
To ci bieda nie dobodzie.

Dodatek polityczny.

Austrya. U nas prezydent ministrów, to jest pierwszy minister cesarski, polak, hrabia Potocki ustąpił z ministeryum. Cesarz wybrał nowych ministrów, a dawnym dał dymisyę, to jest uwolnił ich od dalszej pracy, z uznaniem ich zasług. Na nowych powołał cesarz: jako prezydenta a oraz ministra spraw wewnętrznych, barona Karola Hohenwartha; prof. Habietynka na ministra sprawiedliwości; pana Holzgethana na ministra finansów, to jest skarbu; prof. Schäffle na ministra handlu; profesora Jireczka na ministra oświaty i rolnictwa, a jenerała Scholla na ministra obrony krajowej (wojska). Zobaczymy co dla nas ci panowie dobrego zrobią, bo ani jednego nie ma między nimi naszego, to jest Polaka!

Wojna francuzka. Obiecaliśmy w Nr. 3. podać dalsze szczegóły przebiegu wojny Prusaków z Francuzami. Otóż nic wesołego podać wam niemożemy kochani czytelnicy. Gubernator Paryża, jenerał Trochu złożył swą władzę, i wkrótce potem miasto Paryż poddało się Prusakom. Wojsko francuzkie, które Paryża broniło, złożyło broń Prusakom. Jednej tylko gwardyi zostawiono broń dla utrzymywania porządku w mieście. Przyczyną poddania się tego wielkiego miasta, bo jak wam

już wiadomo, dwa miljony mieszkańców liczy, był głód, powstały w skutek długiego oblężenia. Ale jest jeszcze inna przyczyna, – przyczyna, która zawsze i wszystko w świecie psuje i niszczy, a tą jest niezgoda. Zgodą wzrasta wszystko, zgodą stoją narody, a przez niezgodę i najświętsza rzecz, bo ratunek ojczyzny i domu rodzinnego upada. Prusacy nie weszli jeszcze do Paryża. Stoją naokoło miasta, i tylko za przepustkami mieszkańców po żywność z miasta wypuszczają. Na prowincyi także niebardzo dobrze się dzieje. Gdy człowiek głowę straci, to za nic wszystko. Tu głowa Francyi, bo główne jej miasto Paryż upadło, więc i reszta kraju straciła nadzieję uratowania się. Jenerał Bourbaki ze swem wojskiem liczącem 80,000 ludzi wkroczył w granice kraju szwajcarskiego. Biedne to było jego wojsko! Ciągłemi marszami zmęczone, przytem głodne, obdarte. Rzeczy na biednych żołnierzyskach tak były poniszczone, że musieli od cywilnych ludzi brać odzienie, a mundury podarte rzucać. Wielu widziano w butach podartych, innych w trzewikach drewnianych, między tymi nawet i oficerów, — jeszcze inni boso musieli iść wśród błota i śniegu. Sam jenerał Bourbaki miał się zastrzelić, jak powiadają. Jeden tylko jenerał Garibaldi trzyma się jeszcze. Wojsko jego złożone z ochotników, po największej części Polaków, Włochów, Szwajcarów, a nawet i Niemców. Pod nim walczył i padł dzielny jenerał polski Bosak, o którego śmierci macie w tym numerze pisanie. W sobotę dnia 21 stycznia rano udał on się z kilkoma oficerami, by przejrzeć wojsko stojące naokoło. Gdy się zbliżył do najdalszego posterunku wojska swojego, zobaczył że nieprzyjaciele chcą zrobić napad. Posłał natychmiast po więcej wojska, ale zanim pomoc przyszła, on z pałaszem w ręku otoczony tylko dziesięcioma ludźmi krzyknął: naprzód! Pierwsza kula przeszyła mu rękę, druga piersi na wylot.

Tych dziesięciu towarzyszów jego padło także przy nim. Za parę dni dopiero znaleziono jego trupa i odwieziono do żony, do Szwajcaryi.

Obecnie wskutek wzięcia Paryża, jest zawieszenie broni. Prusacy z obecnym rządem francuzkim nie chcą zawierać pokoju, i rządu tego nie uznają za prawy. Zarządzili wybory

w całej Francji, dopiero po dokonanych wyborach, gdy deputowani z całago kraju się zjadą, mają postanowić nowy rząd. Z tym dopiero rządem chcą Prusacy zawierać pokój. Cóż z tego? albo to Francuzi będą mogli dobrowolnie wybierać? Tam gdzie wojsko pruskie stoi, będą musieli tych wybierać, których im Prusacy nakażą. Przytem warunki pokoju, które Prusacy stewiają, są bardzo twarde. Żądają oni odstąpienia im na własność dwóch prowincyi, Alzacji i Lotaryngii, do tego fortece Belfort i Metz, za koszta wojny 8 miljardów, to jest tyle co 8 tysięcy miljonów, oddania kraju Pondichery, co to aż w Indjach leży a do Francyi należy, i w końcu 20 okrętów wojennych. Aż człowieka oburza, gdy się coś podobnego słyszy. Takie warunki przyjąć to znaczy, stracić piękny kawał kraju własnego, zrobić kraj bezbronnym przez oddanie fortec i okrętów wojennych, — a do tego na wiele lat zniszczyć kraj cały przez zapłacenie tak ogromnej śumy pieniędzy.

Niepodobnem, aby kraj przez zgromadzenie narodowe, co się zbierze, miał takie srogie warunki przyjąć. Wszak to na każdego mieszkańca, czy on bogaty czy ubogi, dziecko w pieluchach, kobieta, starzec, wypadłoby zapłacić po 250 talarów, to jest 357 złr.! Wprawdzie mówią Prusacy, że to ma być spłacone nie od razu, ani na raty, ale w drodze zaciągnięcia długu, od któregoby Francya rocznie procenta Prusakom płaciła. Jest to najokropniejsze jarzmo, któreby Francya na siebie wzięła — znaczyłoby to tyle, co zapisać się w poddaństwo pruskie — i robić pańszczyznę Prusakom Procenta wynosiłyby rocznie 400 miljonów talarów, — a więc coby kto zarobił, musiałby Prusakom oddawać, i tylko na nich by robił, a Prusacy wygodnie, nic nie robiąc, żyli by z tych pieniędzy. Jakby brakło, znowu by inny kraj napadli i zrabowali.

Co się dalej stanie znowu wam opowiemy.

Od redakcji.

Tych szanownych czytelników, którzy w prenumeracie Dzwonka za rok zeszły zalegli, lub też prenumeraty na ten rok jeszcze nie nadesłali, upraszamy o nadesłanie zaległej prenumeraty, lub oświadczenie listem reklamacyjnym, czy prenumerować chcą i kiedy pieniądze nadeszlą. W przeciwnym razie tymże nadal wysyłać nie będziemy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.